



PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

Prenumerata w Warszawie.

We wszystkich księgarniach i kantorach pism peryodycznych po cenie rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60; kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.

Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:

Kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5. rocznie rsr. 10.

Wydawca **MICHAŁ GLÜCKSBERG.**

EXPEDYCJA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY

Ulica Królewska Nr. 5.

W Cesarstwie Austriackiem we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 80

W Krakowie: u D. E. Friedleina, kwartal. flor. 2 cent. 75 na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.

W W. Ks. Poznańskim: u Leitgebera i Spół, kwartal. tal. pr. 1 sgr. 20.

ZACMIENIE

(przekład z W. Hugo 1).

Są w życiu ziemi chwile, w których słońca niemał
Mrok szary, roztoczony przed ludzi oczyma,
To jakaś błada luna, w którą oko sowy,
Patrząc, błyszczący. Podobnym wtedy do Jehowy
Wydaje się Irmensul a światła zaćmienie
Nie smuci, ani gniewa, tylko osłupienie
Świat ogarnia, i jedną jakoby już rzeczczą,
Zdaje się złe i dobre.—Ludzie sobie przeczą,
I dziwią się, i kłóca, a kalecząc nogi
Ślepi, rwą się na czoło i torują drogi.—
W ciemnościach widać końce tej drabiny, która
Od ziemi wiedzie w niebo, ale mroku chmura
Trwoży, i nikt iść nie śmie w nieskończoność czarną.
Nadaremnie też rzesze ku mędrcom się garną:
Mysliciel wierzy, ale wątpią już uczeni!
A gdy sumienie słucha... bada... i głęb' cieni
Chce wzrokiem przebić, cnota traci kształty swoje...
Od potworności mrok się szerzy, ludzkie roje
Widzą jeszcze szczyt, kędy latarnia strażnicza
Paliła się—lecz zagasł już tam płomień Znicza,
I noc jest teraz ziemi królową, złe—królem!
W piersi człowieka, ciężkim uciśnionej bólem,
Miłość drżącemi skrzydły niespokojnie bije,
A tusza trwoży sobą. Wyciągając szyje

Maca wokół i hasel znajomych wyrazem
Przyzywa się, zgaduje—lecz już nie jest razem!....

Podnoszą się nad ludźmi wysokość cieni...
Nędzni! dzikie gromady tworzą wśród przestrzeni,
I zda się oku, że to jakieś lodowwały,
Które czarny nurt niesie w przepaść, a spłwiały
Płaszcz powietrza nad niemi wisi. Małe dziecię
Okazuje twarz starca, jakgdyby już życie
Zanikało na ziemi i ogarnia trwoga
Duchy ludzi, widzących to zaćmienie—Boga!....

M. I.

BOŻY GNIEW

POWIEŚĆ HISTORYCZNA

przez

J. I. Kraszewskiego.

(Dalszy ciąg).

Przeprowadzany tak przez oboje gospodarstwo,
nie do wielkiej sali paradnej, ale do małej, w której
sama pani poufalszych przyjmowała gości,
znalazł już tu Jan Kazimierz u komina marmurowego,
na którym płonął ogień suchych drewek,
opartych na dwu smokach złożonych, wielkie
krzesło z poręczami dla siebie, a małe dwa dla
gospodarzy.

Pokój ten, jak cały ów pałac Kazanowski był
prawdziwym cackiem, godnem królowej. Fla-

mandzkie obrazki i portrety na ścianach w ramach
wytwornie rzeźbionych, na tle adamaszku purpurowego
ze złotem; brzozy i marmury, na stołach owe skrzynki
rzeźbione z szyldkretu, hebanu, z drzewa różowego,
sadzzone kością słoniową, złotem, bursztynem,
brązowe klatki pełne ptasząt, flamandzkie portyery
z herbami Kazanowskich, posadzka w najpiękniejsze
wzory różnobarwnem drzewem wysadzana, kobierce
perskie, tysiące fraszek kosztownych, czyniły wesoły
ten gabinet zachwycającym.

Dosyć obojętny na podobne zbytki, Król Szwedzki
nie mógł jednak nie uczuć piękności tego gniazdką
i poprostu zawołał, siadając:

— Jakże tu pięknie u pani!

Uśmiechnęła się marszałkowa.

— Myśmy, jak dzieci, N. Panie — rzekła — bawimy
się cackami temi, ale też to całe nasze mienie i uciecha
na świecie...

— Zjeżdżają się liczni już panowie senatorowie —
począł Kazimierz, któremu dolegała ciągle troska o
elekcję. — Widzieliście pewnie z nich wielu?

— Niektórych — rzekł marszałek — unikam mieszania
się do spraw publicznych, bo ani zdrowie, ani żałoba
po królu, którą mam w sercu, nie dopuszczają mi
niczeń się zająć.

— Ja, oile mogę, zastępuję męża mojego — dodała
marszałkowa żartobliwie — bo-bym nie chciała, aby
się tak usunął od ludzi, od świata i w tym smutku
pogrążał cały, ale zniwolona jestem go przymuszać,
tak zobojeźniał na wszystko.

— Szczęśliwy brat mój, iż umiał sobie takiego
przyjaciela pozyskać — dodał król — zazdroszczę
mu.

W tej chwili oznajmiono o przybyciu kancle-rza
Ossolińskiego, a Kazanowski grzecznie zwrócił się
do gościa, zapytując: czy mu go przyjąć dozwoli?

Jan Kazimierz skłonił głowę.

W chwilę potem, równie chmurnego niemal

oblicza, jak sam gospodarz, wszedł z powagą pańską, która go nigdy nieopuszczała—Ossoliński. Przybycie jego było bardzo pożądane królowi, ale może niekoniecznie na rękę pięknej Elżusi, która chciała sama, przy podanej zręczności, zaważnąć przyszłym panem.

Ciekawą też była: czy się nie zdradzi ze stunkiem swym do królowej wdowy, której nie lubiła i obawiała się, a przewidywała, że ona wpływ swój wywrze na Jana Kazimierza.

Ossoliński wszedł z tą troską, z którą się wówczas nosili wszyscy. I on i inni senatorowie i dygnitarze pragnęli co najprędzej część odpowiedzialności, która teraz cała ciążyła na nich, zrzucić na wybranego króla.

Chociaż termin elekcji wyznaczony był na sejmie konwokacyjnym, znacniejsza część senatu, dla nadzwyczajnych wypadków przyspieszyć go pragnęła. Inni, razem z kanclerzem litewskim Radziwiłłem, naprzód chcieli skłonić jednego z kandydatów, aby się rzekł na brata, i w tej mierze zgodni byli wszyscy... nikt sobie nie życzył Biskupa Wrocławskiego.

Jako główną pobudkę do oświadczania się przeciwko niemu stawiono jego powołanie duchowne, obyczaj mniszy niemal. Było to wistocie doskonałym pozorem, chociaż przyczyna dla której wolano Jana Kazimierza, głębiej leżała może.

Znano go lepiej—i wiedzano, że nim łatwiej będzie pokierować. Z tego zamkniętego w sobie skąpego, surowy ład lubiącego biskupa, który brzydził się kobietami i nie miał faworytów, ani zauszników,—któż wie, jaki się mógł król rozwinąć? Przeszłe życie Króla Szwedzkiego nie pozostawiało wątpliwości, jakim będzie na tronie.

Od pierwszych wyrazów rozmowa z Ossolińskim weszła na publiczne sprawy, ale Kazanowski zamilkł, i żona jego tylko szczebiotaniem się swem do dyskursu mieszała.

Kanclerz oznajmował królowi, że się umówili z Albertem Radziwiłłem i kilku innymi panami w tych dniach jechać do Jabłonny, do księcia Karola, i nastawać na niego o zrzeczenie się kandydatury. Uradowało to widocznie Szwedzkiego Króla.

— Możecie go upewnić — rzekł żywo — iż ja straty, jakie poniósł, będę się starał wynagrodzić. Mówią o milionie przeszło na zaciągi i kaptowanie szlachty wyrzucenym. Dla Karola, który tak grosz lubił zbierać skrętnie, dotkliwą-by to było stratą, ale sądzę, że Rzeczpospolita, — ja sam, potrafimy go indemnizować.

— Skończy się to niechybnie na rezygnacji — dodał Ossoliński — bo stronników księżę Karol, z wyjątkiem Mazowsza, nie będzie miał wielu.

Kanclerz potwierdził zresztą w dalszej rozmowie wszystkie wiadomości, jakie doszły z Zamościa, Brześcia i z Rusi. Kozactwo było do najwyższego uzuchwalone stopnia. Hetmani w niewoli, wojska rozbite, łup ogromny zabrany, bezkarne najazdy na strzeżone grody wprawiały je w rodzaj upojenia.

Powtarzano plugawe wyrażenia pijanego Chmiela i obelgi rzucane na szlachtę, ale razem Ossoliński świadczył, że hetman kozacki o przyszłym królu, jak o przeszłym, wyrażał się z pokorą i respektem. Króla więc co rychlej, jako chorągwi było potrzeba, około której naród się miał gromadzić.

Jan Kazimierz czuł się dumny z wielkiego posłannictwa, jakie na niego spadało: miał być zbawcą ojczyzny!

V.

Pożegnanie z Maryą Ludwiką było zimne i ceremonialne, napozór przynajmniej, lecz staraniem obojga kanclerstwa litewskich, a szczególnie księcia Albrechta, pomiędzy królową wdową a Janem Kazimierzem stanął już pakt niemy, który ich interessa łączył i wiązał w przyszłości.

Zręczny dyplomata, Radziwiłł, zawsze we własnym tylko imieniu działając, przejeżdżał tyle kroć do Maryi Ludwicy, do Króla Szwedzkiego, tak powoli działał na oboje, iż królową skłonił do zgodzenia się na swe trudne wyjście za mąż

za nowego króla, a Jana Kazimierza do obietnicy, iż—jeśli królową sobie pozyskać potrafi—znieść się z nią jest gotów.

Wszystkie korzyści tego połączenia umiał kanclerz wyłożyć bardzo zręcznie.

— W tej chwili zyskujesz sobie w król. mość we Francji i w Rzymie sprzymierzeńca, królowa gotowa jest sukurrować pieniędzmi.... Wszystko to warunkowo tylko wiąże w. król. mość, ale ożenienia łatwiejszego, mniej kosztownego w tych czasach, gdy o pieniądź trudno, naostatek osoby godniejszej korony, którą nosiła z taką powagą, nie znajdziesz w. król. drugiej. Wszystko mówi za nią.

— Mam największą cześć dla Maryi Ludwicy, — zapewniał Kazimierz.

Tak ułożywszy preliminaria, kanclerz był pewnym prawie, że mimo niestałości umysłu króla wszystko się według programu spełnić musi.

Jan Kazimierz w pierwszym momencie zgodził się: dawało mu to pewność wyboru, poparcia, oswoodziło od troski, lecz zaledwie Radziwiłł odszedł, a on pozostał sam na sam z Butlerem, przed którym z gadatliwością dziecinną, ze wszystkiego się zwierzał, zawołał, ręce łamiąc:

— Wiesz, Butler, co mnie ta korona kosztować będzie? Ja to przewidywałem. Radziwiłł mi swata królową wdowę i każe mi się z nią zenić.

Ale to znaczy się dać okuc—i ta kobieta mnie zawojuje! Ja to czuję, ona mnie na pasku prowadzić zechce, będzie każdy mój krok szpiegować.

Nagle urwał i zamyslił się.

— Nie jest brzydka — zamruczał — tego nie powiem, ale młodości ani znaku, a dla mnie młodość...

I jakby się sam zawstydzil tej słabości swej, dodał prędko:

— Te ożenienia urzędowe, to do niczego nie obowiązują. Władysław z nią nie żył prawie, tak, ale czyniła z nim co chciała.

Zobaczysz—i mnie to czeka!

— N. Panie — przerwał Butler — położenie nieboszczyka całe było inne.

— Tak, ale ona, królowa dziś, stokroć silniejsza, niż była w początku—mówił Jan Kazimierz. Ma stosunki, przyjaźni, adherentów.

Starosta zbliżył się do króla.

— N. Panie — szepnął. — Polityka ma swe prawa. Przecież w. król. mość nie dajesz zobowiązania żadnego do tego ożenienia się. Są to tylko przypuszczenia, życzenia, ewentualności. Raz osiągnąwszy koronę, zawsze się cofnąć można.

Zacisnął usta Jan Kazimierz.

— Ja też—zawołał rękę kładąc poufale na ramieniu Butlera—ja też z królową samą nic o tem mówić, nie przyrzekać nie myślę... nie—nie... Mówiliśmy z kanclerzem; są to supozycje, że się tak może złożyć w przyszłości,—nie więcej z mej strony, nie więcej!

Pożegnanie z królową z obu stron było jakby badaniem potajemnym. Wiedzieli, że układy zostały zawiązane, i że o nich mówić nie była pora.

Królowa wyszła, nieco więcej ożywiona, niż zwykle, król zbliżył się z wyraźniejszą galanterią jakąś, która go przy rysach twarzy niemilych i wymuszeniu, do jakiego się czuł obowiązany, wiele śmiesznym czyniła.

Rozpoczął od podziękowania królowej za przyrzeczenie mu poparcie. Marya Ludwika złąkla się może zbytnej otwartości i natychmiast przerwała.

— Radabym tej Rzeczypospolitej, która mnie przyjęła i przyswoiła dać dowód przywiązania, a lepiej jej usłużyć nie mogę, jak przyczyniając się, oile słabe siły moje zdołają, do prędkiej elekcji w. król. mości.

Pisałam już do króla, kuzyna mego, i spodziewam się rychłej odpowiedzi,—listu do Stanów Rzeczypospolitej.

Jan Kazimierz ucałował podaną sobie rękę.

— Nieskończoną wdzięczność winien będę w. król. mości.

Królowa ciągle, jakby się obawiała niezręcznego i niewczesnego wygadania się ze strony

Kazimierza, przerywała mu żywymi zaręczeniami, iż wszelkimi siłami popierać go będzie.

Rozmowa w ciągu której, zapewne wskutek wczesnego polecenia, nadszedł ks. de Fleury, skończyła się ogólnikami. Znać jednak było w obejściu się swobodniejszym obojga, iż łody pierwsze skruszone zostały, że oboje pewniejsi spoglądali w przyszłość. Marya Ludwika znała już dosyć Króla Szwedzkiego, aby pewną być, iż zapanuje nad nim, i o to najmniejszej nie miała obawy.

Strwożony król pocieszał się potajemnie tem, że później z tego zawikłania i obietnic wysłiznąć się potrafi.

Wyszedł więc tak wesół, jak nie był oddawna, ale—stary grzech, z całą swą wstrętną fizjognomią mściciela, czekał go na progu antykamery.

Stała tu inaczej teraz ale nie mniej cudacznie wystrojona Bertoni, której pokojowcy króla, karły, dworzanie, komornicy nie mogli zmusić do odwrotu, choć ją zapewniali, że króla nie było, i że z nim dziś widzieć się jest niepodobieństwem.

— Juźci przecież na noc powróci — wołała zuchwała Włoszka — a ja ztąd nie ustąpię krokiem, póki się z nim nie rozmówię.

Na żywy ten spór ze strażą drzwi swoich nadszedł król i zbladł, zobaczywszy tego upiora przeszłości.

— A! nieznośna ty... — zawołał — dajże mi technąć! Czego mnie przesładujesz?

Włoszka skłoniła mu się.

— Mam ważną sprawę — rzekła — w. król. mość jutro do Nieporętu, a ja po bezdrożach gonić za nim nie mogę.

I przedzierając się za królem, choć nie odpowiadał, Bertoni wtargnęła do drzwi sy-pialni.

— Czegóż chcesz? — krzyknął niecierpliwie odwracając się, Jan Kazimierz.

— Sprawiedliwości! — patetycznie głos podnosząc, odrzekła Włoszka.

Jedną córkę mam, oko w głowie, skarb.

Na wspomnienie to córki król stanął.

— Aha! z córką więc... katastrofa—zawołał.— Ciekawym.

— Katastrofy żadnej niema, bo ja jej nie dopuszczę — zawołała Bertoni — oczywiście mu wydarła!

— Komu? — spytał zaciekawiony widocznie król.

W drugich drzwiach pokoju na progu z tą swobodą dworów, w których niema porządku i karności, cała gawiedź antykamery zbiła się do kupy i słuchała.

Bertoni wskazała na nią.

Tupnął nogą król i rękami dał znak, aby wszyscy precz szli.

— Drzwi zamknąć.

Z chwili tej korzystała Włoszka, aby włosy i manele przed zwierciadłem poprawić. Wyglądała jak istna głowa Meduzy, okryta błyskotkami.

— Cóż się z twoją córką stało? — zagadnął król, widocznie zaintrygowany.

— Nie stało się nic, ale jako matka ja muszę zapobiegać, aby się stać nie mogło — poczęła Włoszka. — Otóż doszłam tego, że dworzanie w. król. mości, szlachetka biedny, bez domu i łomu, pokojowiec, podkrađa mi się do Bianki, bałamuci, próbuje korrumpować ludzi, pod oknami się włóczy, liściki pisze.

Śmiał się król.

— A to zuch! — zawołał — któryż? mów, jak się zowie?

Nie odpowiadając na pytanie, Bertoni ciągnęła dalej:

— Przychodzę po to, abys mu w. król. mość zakazał, zagroził, zapowiedział, że jeśli się waży i będzie mi dalej podstępnie się wkładać, dostanie na kobiercu i won ze dworu!

— Nic więcej? — zapytał król rozweselony — nie powiesić-by go za to?

— Nie drwij w. król. mość — przerwała gniewnie Włoszka—tu o niewinne dziecię chodzi.

— Powiedzcież mi, jak się ten szczęśliwiec zowie? — zapytał Kazimierz.

Skrzywiła się Włoszka i plunęła.

— Nawet nazwiska jego paskudnego wymówić trudno — krzyknęła — nazywa się jak jakiś stróż, gbur, chłopisko. Imię i nazwisko dobrane.

Krzuszyła się Bertoni i z przyciskiem wyrwała się jej z ust nareszcie.

— Dyzma Strzębosz!

Król podniósł ręce i plasnął.

— Oho! — zaśmiał się — ma więc gust kawaler.

Włoszka, nawykła z królem wcale nie czynić ceremonii, mruknęła: — Aha! nie dla psa kiełbasa...

Tymczasem już król w ręce uderzył. Wpadł pierwszy dworzaniu Tyzenhauz.

— Strzębosza mi tu wołać.

— W antykamerze go niema — odparł śmiało Tyzenhauz — ale na zamku jest, bom go widział niedawno.

— Posłać po niego.

Wtem, jakby na zawołanie, wśród ścisłu przedpokoju, powstał szmer, i przedzierając się przez dworzani, wszedł śmiało i raźnie stąpając, kuso a elegancko, według ówczesnej mody, wystrojony popolsku młodzieniec bardzo przystojny, z czubem w pukle mu zwijających się włosów na głowie, przy szabelce, w krótkiej deliście, — choć malował!...

Ciemny wąsik, do góry podkrecony, młodej twarzyczce nadawał butą większą jeszcze, choć i tak jej dosyć miała.

— Strzębosz? — zagadnął niby, się groźnie marszcząc, król — co to znowu za skarga na ciebie?

Bertoni cofnęła się kilka kroków, tyłem ku obwinionemu się obracając.

— O niczem nie wiem — burknął dworzani.

— Jakto? o niczem! — wybuchnęła Włoszka — waćpan mi chcesz córkę bałamucić.

— Uchowaj Boże! — rzekł zimno Strzębosz.

— Nie możesz się zapierać — przerwała kobieta — ja mam dowody w ręku.

— Ja się też nie myślę zapierać — począł dworzani — że panna Bianka mi się bardzo podobała, żem się nawet w niej rozmiłował. Toć nie grzech... Jestem szlachcic, a kiedy się rozmiłuję, to i ożenić mogę.

Bertoni pochwyliła się za głowę.

— To mi dopiero łaska? — krzyknęła — waćpan! żenić się z moją córką, waćpan co masz całego majątku nędzną szkapę i siodelko z rzemiennym rzędzikiem! Cha! cha! cha!

Strzębosz słuchał wcale niezmiyszany:

— I tego się nie wypieram, żem ubogi — odparł — Albo to się jako drudzy dorobić nie mogę? a moje też szlachectwo nie zawąży na szali?

Król spoglądał, to na zuchwałego sługę swojego, to na rozplamioną tą śmiałością jego Bertoni.

— Miejże rozum — odezwał się do Strzębosza zwrócony. — Widzisz, że matka ciebie znać nie chce, gwałtem przecie jej nie weźmiesz, a szlachectwo twoje mało sobie cenią. Dajże ty mi pokój tym amorom i żebym ja o nich więcej nie słyszał!

Strzębosz wesa pokręcił.

— W. król, mość — rzekł — możesz mi rozkazywać, co zechcesz, ale co się tyczy serca, wiadoma rzecz, jeden Bóg ma w swych rękach serca nasze. Ja sam panem jego nie jestem. Radbym posłusznym być, ale za to ręczyć trudno.

Uśmiechnął się król, ruszył ramionami.

Włoszka palce sobie z gniewu wyłamywała i słycać było, jak w stawach trzaskały.

— Słyszałeś waszmość rozkaz króla? — zawołała gniewnie — a ja mu zapowiadam, że przystępu do mojego dziecka zakazuję — i wszelkich użyję środków, choćby ją przyszło do klasztoru zamknąć, abys końca jej nosa nawet nie zobaczył.

Ruszaj sobie ze swem szlachectwem, gdzie chcesz; zląkami się może na nie inna mieszczka, moje dziecko zawysoko.

Strzębosz słuchał zukosa, patrząc na rozjątrzoną jejmość; nie odpowiedział nic.

— No, masz odprawę — rzekł król — wiesz czego się spodziewać; pamiętajże, abym ja wię-

cej tych skarg na ciebie nie słuchał, bo — będę musiał ze służby cię odprawić.

Wszystko to razem na młodzieńcu bardzo mało zdawało się czynić wrażenie; posądzić go było można, iż się pod wąsem uśmiechał.

Pokłonił się potem w milczeniu królowi, trochę szydersko; zniżył głowę przed jejmością i wyszedł, ale jakby tryumfował.

Strzębosz ten, którego Bertoni tak sobie lekceważyła, od powrotu Jana Kazimierza nanowo do dworzani jego zaliczony, był wszystkim, nie wyjmując króla, ulubieńcem. Chłopak ubogi, syn wdowy, kędys z Krakowskiego, dziecinnie znanego z meztwa żołnierza, który w regimencie Biskupa Krakowskiego do śmierci służył, wychował się w Krakowie, potem wszedł w czasie, gdy Władysław IV, nowe zaciągi rozpoczął, do pułków cudzoziemskich, a z nich na dwór Kazimierza

(Dalszy ciąg nastąpi).

NOTATKI PEDAGOGICZNE.

— Pedagog francuzki, Jacoulet, zwraca uwagę wychowawców na odzywające się coraz częściej głosy, że młodzież dzisiejsza okazuje za mało gustu do czytania, które jednak dobre wychowanie konieczne w niej wyrobić powinno. Czy nie jest to skutek zbyt przeciążających młody umysł wykładów nauki szkolnej? A także wybór książek przeznaczanych na czytanie młodzieży ma tu znaczenie swoje; nie można się wciąż uczyć i gdy nauczyciel, czy nauczycielka, lub rodzice tylko uczące książki podają do rąk młodych czytelników, nie wyrabia to potrzebnego zamiłowania, i z uwagi na ten ważny wzgląd wychowawczy, pedagog francuzki sądzi, że trzeba pozwolić starszej młodzieży czytania niektórych powieści, tygodników i przeglądów, przecież w doborze odpowiednim, i nigdy dowolnie: „sous reserve d'un controle attentif.“ Zaleca on dalek czytanie poetów, lecz szczególnie kładzie nacisk na czytanie książek historycznych: „tych książek — dodaje — które przez obfitość i rozmaitość szczegółów, lub świetność stylu, posiadają sztukę pociągania ku sobie inteligencye nawet bardzo młode i bardzo mało wykształcone.“

„Wysoce korzystną dla młodzieży rzeczą jest obcowanie z wielkimi umysłami (historyków), pod warunkiem jednakże, aby czujny nauczyciel kierował niedoświadczonymi czytelnikami i wskazywał im do czytania (z dzieł historycznych) pewne rozdziały, a nawet pewne tylko ustępy, które ze szczególną korzyścią czytanie być mogą. Najznakomitszych nawet historyków młódz ucząca się nie może czytać w całości nie dlatego, żeby czytanie to groziło samo w sobie niebezpieczeństwem jakim, ale, że młodzież nie ma na czytanie takie dość czasu, bo brakułoby go mogło na studia inne, i łatwo wtedy jest przeczucić się z jednej ostateczności w drugą — za wiele czytać kosztem nauki właściwej. Każdy z nas wie, jaki czar może wywierać na umysł czytanie wielkich arcydzieł historycznych, czytanie takiego Micheleta, naprzykład. Trudno się wtedy oderwać od książki, a jakkolwiek dobrze jest „umieć czas swój tracić“, nie trzeba tracić go za wiele bez wręcz wytkniętego celu. W czasie nauki nie przyszła jeszcze chwila na długie, bez praktycznego użytku godziny czytania, i dość jest wtedy zaprawić sobie smak do tego.“

„Czytanie historyczne, gdy dobrze dobrane, może, podobnie jak powieść dać owe potrzebne smaku zaprawienie, ponieważ może ono być tak, jak powieść, pociągającym i dostępnym. Nauczyciel historyi może też wspomagać tutaj nauczyciela literatury, i należy do niego, wcale niemniej, niż do tamtego, wyrobić w młodzieży zamiłowanie czytania i wtajemniczyć ją w to szlachetne obcowanie z książką, będące jedną z najlepszych rozkoszy życia.“

W tym celu zaleca Jacoulet raz w tydzień czytanie w godzinach na naukę przeznaczonych,

choćby kilku kartek z dzieła historycznego, co przecież, nie uczeń, ale sam nauczyciel ma czynić, starając się, aby przedmiot był dobrze dobrany, zdolny wyrzeć pożądane wrażenie: i dla tego czytający powinien dbać o odpowiednie go wygłoszenie go, z należycie piękną dykcją i nie przesadną, a jednak szlachetną, deklamacją. Może on dla braku czasu przerwać, choćby w połowie obraz wypadku historycznego, i uczniowie już sami sobie niech czytania dokończą poza godzinami nauki. Przytem nauczyciel powinien dawać uczniom wskazówki do podobnych czytań poza nauką; może on także naznaczać na wyprawowanie stylowe przedmioty historyczne, wcale nawet nie z celem rozszerzenia historycznych wiadomości uczącej się młodzieży, a głównie ze względu na wzbudzenie zamiłowania do czytania, co najlepiej daje się otrzymać, zwłaszcza u chłopców, przez zajmujące czytanie historyczne.“

Jest to niezmiernie cenna wskazówka wychowawcza, wiążąca się ściśle z zalecanem od lat wielu przez pismo nasze podawaniem do rąk młodszych czytelników tych, umyślnie dla ich użytku czynionych wydań: dyaryuszów, pamiętników, jak naprzykład opracowane przez Laskowską *Pamiętniki p. Faska*. Dla nieco starszej nłdzi już tego szczególnego opracowania nie trzeba wcale, i mamy bogaty zapas rzeczy, które tu posłużyć się można: szkice Szajnochy, Kubali, Dr. Antoniego J. Bartoszewicza, a jeżeli znajomość języków obcych na to pozwala, można czerpać niekiedy i z rzeczy obcych, naprzykład z cytowanego wyżej Micheleta. Jego *Dziwica Orleańska*, co to za barwne, świetne, pociągające czytanie! Można przecież użyć tu również dobrze ustępów z większych całości; obraz jakiejś bitwy, jakiegos zdarzenia, już pewną skończoność ma i wybornie się tu nadaje.

Książki pisane dla młodzieży, dlatego są najczęściej tak nudne i banalne, że osoby, które je piszą, biorąc przedmioty z życia powszedniego, rzadko kiedy są w stanie, nawet przy pewnym talencie, poruszyć takie strony uczuć i interesów ludzkich, które gorąco za serce chwytają, gdyż względy pedagogiczne utrudniają im to zadanie. Z rzeczy, którym historia służy za temat, rzadko też coś rzeczywiście zajmującego wychodzi z pod pióra specjalnie dla młodzieży piszących, noże dlatego właśnie, że do tej specjalności nawykłe, pomniejszają ludzi i wypadki dziejowe tak, że młodzież, już dorosłości bliska, musi to znajdować mdłym, i nie może czytaniem takim rozgrzać sobie serc, nie może mieć wyobraźni zachwyconej. Po co wreszcie tworzyć to, co już istnieje, i co przez wyższe talenta z wielką dziejową myślą tworzone, na głębokich studiach oparte, niełatwo dorównanem być może? Jacoulet swoje cenną dla wychowawców wskazówkę zakończy cytata z Seneki: „Nie chodzi o to, aby czytać wiele książek, ale, aby czytać dobre.“

— Krótkowidztwo, rozszerzające się coraz bardziej, jak to mamy przykład i u nas, zaniepokoiło władze szkolne niemieckie, i badania czynione przez lekarzy ocznych doprowadziły do wniosku, że nowoczesne metody nauczania elementarnego są przyczyną tej przykrej i ze złemi następstwami związanej wady wzroku. Doktor Steffan, od lat wielu zajmujący się badaniami w tym kierunku okulistyki, umieścił w końcu ubiegłego roku w piśmie: „Frankfurter Schulzeitung“ owoce badań swych na tem polu i wskazówki, jak wzrok dziecka powinien być przedmiotem troskliwości ze strony władz szkolnych. Pedagogowie nieposiadając lekarskich wiadomości z dziedziny okulistyki, zajmują się przede wszystkim ulepszeniem metod nauczania pod względem praktycznym i formalnym, nie myśląc, że istnieje jedna jeszcze, wysoce ważna strona rzeczy: zachowanie organów fizycznych, któremi dziecko posługuje się przy nauce. Najpierw Dr. Steffan, jak to wiedzą już czytelnicy naszego pisma, potępia surowo prawie wszystkie te prace dzieci, które w ochronach zadają biednym małym istotkom pod pięknie brzmiącą nazwą zabawek frebloskich. Otóż zabawki te, jak: wykluwanie papieru według wzorów, składanie go w pewne kształty podług narysowanych na nim linii i t. d., są to wszystko rzeczy zabój-

cze dla młodego wzroku, tak samo, jak przedwczesne uczenie dziewcząt regularnie stawianych ściegów szycia, a gorzej jeszcze znaczenia krzyżykami, rachowania nici w płótnie lub kanwie.

Już przed Dr. Steffanem takasama, i z tych samych powodów pochodząca opozycja przeciwko zabawkom freblowskim podniosła się w Anglii. Uznano je za szkodliwe dla wzroku, bo natężenie uwagi, nieodpowiednie dla tak małego dziecka, i pochylanie się nad móżdżkiem dla niego robotą, spowodowała szkodliwe bicie krwi na mózg i ztąd niektóre z pomiędzy owych pseudo-zabawek, szczególnie wykluwanie papieru zostało tam policyjnie zabronione. I stronę moralną tych zajęć potępili pedagogowie angielscy. Biorą one dziecko w kluby, nie pozwalając na swobodne i oryginalne rozwijanie się pomysłowości, więc samodzielności i wyobraźni, gdyż właśnie te władze zabite są w zarodku przez narzucone z góry zajęcia, które dziecko musi ściśle i niewolniczo wykonywać. Gdy sypie ono góry z piasku, wtedy tworzy coś podług fantazji swojej, i myśl młoda już w kierunku jakims sama się zwraca, czegoś pragnie i coś dokonywa według wzorów własnego wyboru; gdy tymczasem przy zabawkach freblowskich dziecko pracuje mechanicznie i wprawdzie wyrabia się w niem pracowitość i uwaga, ale przedwcześnie i w stopniu tłumiącym wszystkie inne władze i przyimoty umysłu.

Kraszewski najpierwszy zrobił to spostrzeżenie w ochronach drezdeńskich, jak to pismo nasze powtórzyło przed wielu już laty; żałował on serdecznie biednej dziatwy, tak krępowanej, tak ujętej w rygor surowy już w pierwszych chwilach życia. Łatwiej to jeszcze znosi dziecko niemieckie, niż naprzykład, nasze, francuzkie, lub włoskie. We Włoszech też podnosiły się podobnie głosy pedagogów przeciw temu nadużyciu dowolnego urabiania dziecka, uważając, że metoda Frebla jest czysto-niemiecką i dla Niemców jedynie służącą — że jednak nie bez szkody, dowodzi Dr. Steffan.

Przy dzisiejszej nauce elementarnej dzieje się też dziecku pewien gwałt pracowity, gdy każą mu uczyć się razem pisać i czytać. Dziecko powinno już pierwej nie tylko głoski znać, ale zgłoski składać, zanim mu dadzą w rękę pióro lub ołówek i każą według wzoru naśladowane znaki kreślić. Przyglądając się z natężeniem wzorowi, aby go odtworzyć, dziecko wysiła wzrok, co nie miało miejsca, gdy oswojone do pewnego stopnia z temi znakami przez naukę czytania, miało je już jakoby przez wzrok ujęte i wzór był tylko jakoby pomocą przy ich naśladowaniu, przyczem pracowała więcej ręka, niż oczy. Dr. Steffan każe też pierwszy rok szkolny oddać wyłącznie czytaniu, naukę czytania z elementarzystwa uważa on za mniej dobrą, niż z dużych, na ścianach wiszących tablic, na których dziecko widzi litery zdaleka, i uczy się je poznawać stojąc, na co Dr. Steffan kładzie też nacisk pewny, bo pochylanie się spowodowało, jak to już było wyżej, bicie krwi na mózg. Ze dziecko nauczone czytania w domu rodzicielskim, najczęściej przez matkę, nie siedzi tak długo nad książką, jak dziecko w szkole, przeto szkodliwość elementarzystwa zmniejsza się; przytem matka, czy nauczycielka domowa, dziecku przy nauce tej wyłącznie oddana, wspomaga je przy niej tak, jak nie może to mieć miejsca w szkole ze znacznie większą liczbą uczniów. Gdy też dziecko uczęszczające do szkoły ma wzrok już oswojony z kształtami liter, przedstawianych mu poprzednio na tablicy i poznaje je bez wysiłku, książka dana mu wtedy do ręki już nie oddziałuje na wzrok szkodliwie.

Pisanie powinno się rozpoczynać w drugim roku nauki i nigdy na tych ciemno-błękitnawych tabliczkach łupkowych, źle odbijających blado białawe rysy pisma, i najlepiej uczyć dziecko odrazu na papierze, byle to nie były owe niebiesko, czy szaro kratkowane zeszyty, mające ułatwiać formność w stawianiu liter. Zeszyt tak pstro zakratkowany źle oddziałuje na wzrok, który psuje. Metoda niemieckiego kaligrafa, Steimanna, zwana stimograficzną, w której kropki

zastępują linie, została również przez Dr. Steffana potępiona. Potępiają ją zarówno i inni okulisci, wskutek czego kratkowane, czy kropkowane zeszyty zostały przez właściwe władze zakazane: w Austrii, Bawarii, Szwajcarii, w księstwie Meklenburg-Schwerin, w miastach Bremie, Magdeburgu, Frankfurcie nad Menem, oraz w szkole kadetów pruskich pod Berlinem, w miejscowości Lichtenfeld. Pruskie ministerium oświecenia odniosło się w tej kwestyi do departamentu medycznego; a że potępiło ono również zeszyty kratkowane i kropkowane, zakaz przeto nastąpił wkrótce w całych Prussach.

W tym samym numerze *Frankfurter Schulzeitung*, miejscowy inspektor szkół elementarnych, Dr. Kuhn, odpowiada Dr. Steffan, że przecież dla innych i też bardzo ważnych powodów, nauka czytania i pisanie musi się w szkołach odbywać jednocześnie, tylko lekce pisanie będąc możliwymi skrócone i zeszyty wcale liniowane nie będą. Że chodzi tu o czas nieprzedłużania nadmiernie szkolnej nauki elementarnej, względy na których się to opiera nie mają znaczenia w wychowaniu domowym. Przyjmuje ono często metody nowe, nie zastanawiając się nad tem, że wiele innowacji zostało wprowadzonych tylko ze względów praktycznych nauczania szkolnego.

Ale domowa edukacja ma swego innego wroga: brak znajomości rzeczy i ztąd niedbałość na pewne ważne względy. Lekarz miasta Gracu Dr. Netoliczka, badając coraz silniejszy wzrost krótkowidztwa w wyższych i niższych szkołach tamtejszych, pisze w raporcie swoim, że przyczyną złego wzroku może być więcej w okolicznościach domowych niż szkolnych nauki dzieci. Mało rodziców zważa na to, aby dzieci nie pochylały się zbyt przy pisaniu, lub czytaniu; przytem nie zwraca się uwagi jakiem jest światło i wieczorne oświetlenie, przy którym dziecko pracuje: nie zwraca się uwagi, na kierunek światła i czy jest dostatecznym, aby wzrok nie potrzebował się wysilać? Istnieje pewne fałszywe pojęcie rzeczy, że młody, niezdmęczony jeszcze wzrok, obywał się może mniejszym światłem, gdy przeciwnie wzrok dzieci, jak wogóle wszystkie ich siły, jest słabszym i delikatniejszego pielęgnowania wymaga. Pozwala się też dzieciom uczyć i czytać w łóżku, gdy są słabe. Samo czytanie w pozycji leżącej jest silnie szkodliwe dla wzroku, potęguje się to jeszcze, tak u dziecka, jak u osoby dorosłej, gdy jest słabą; przytem dzieci rysują często z wzorów, lub kopiują mapy całemi godzinami, co wszystko nie powinno mieć miejsca, zwłaszcza wieczorem. Dziewczęta nie powinny też o tej porze wykonywać delikatnych robót igłą lub szydełkiem.

Ponieważ z danych statystycznych Dr. Netoliczka znalazł między ludnością wiejską więcej krótkiego wzroku u uczennic, niż u uczniów, bierze to za dowód wykazujący, że główną przyczyną dzisiejszego zatrważającego osłabienia wzroku, jest nadwężenie go przez wysiłek pracowity, co u dziewcząt potęguje się jeszcze przez roboty ręczne. Odpowiedziano mu na to przez dzienniki, że wprawdzie rodzice są niekiedy mało uważni na warunki, w których odbywa się nauka ich dzieci, jednak w wielu najważniejszych razach nie mogą zabronić dzieciom nadmiernego wysiłania wzroku przy wymienionych przez Dr. Netoliczkę zajęciach, gdyż szkoły zadają dzieciom te prace, które w danym czasie odrobić muszą. Szkoła dzisiejsza przeciąża dzieci i zapomina, że nauka jest tu pośrednim jedynie celem, bo przeznaczeniem jej jest życie wspomagać i bogacić, a nie ubożyć je i z sił odbierać.

NOWINY PARYZKIE.

Paryż, w Styczniu 1886.

Zima i jej trzykrotny powrót. — Tutejsze sposoby ogrzewania mieszkań. — Wybory do Izby i wybór Prezydenta. — „Politica.“ — Rozprzeżenie umysłowe. — Wzrost przestępstw. — Zabójstwo Prefekta Barrème'a. — Bilans morderstwa. — Prawdziwa zaraza

moralna. — Jej szerzenie się w literaturze i sztuce. — „Safa i „Georgette'a“ — „Morze“, p. Richpin'a. — Autorowie i publiczność. — Pornografia i jej powodzenie. — „Paryżanie“ Gondineta. Daudet'a „Tartarin na Alpach“ — „Sokrates i jego żona“, p. Banville'a. — Śmierć p. de Falloux i Baudry'ego.

Zima! przykra, długa, nieznośna! Niema tu zapewne tych wielkich zasp śniegowych, jakie bywają u nas, niema 20 stopni mrozu; ale są za to — kominki zamiast pieców, przez które nawet podzwrotnikowe ulotniłyby się upały, a cóż dopiero mówić o tym ciepłiku, który ma wydać kilka nędznych polanek drzewa, kilka garści węgla lub koksu! Marznie więc człowiek i powoli ostyga, w najszerszym zapale, którego nie rozgrzeje nawet nasz sławny tu dziś Szuberski, wynalazca jedynych, przenośnych piecyków, mających tę wielką zwłaszcza w Paryżu, zaletę, że chronią od zaczadzeń i nie nadają się na narzędzia gwałtownej śmierci przez wyziewy kwasu węglowego.

Żart na stronę: wszystkie te wynalazki ogrzewania są doskonałe, niezrównane, kiedy nie bardzo zimno na dworze; ale skoro, jak w tej chwili, straszliwy wiatr północno-zachodni wchodzi do mieszkania, jak do własnego domu, przez drzwi i okna zamykające się, jak na śmiech, wszystkie wynalazki są dyabła warte, a biedny nasz korespondent pióra w rękę utrzymać nie może.

Po raz już trzeci tego roku śnieg do nas zawitał. Nie leży on długo, to prawda, ale jakkolwiek krótko nawiedza Paryżanów, daje się tego we znaki. Rozpoczyna się zaraz muzyka, złożona z czchania, kaszlu, krztuszenia się na wszelki sposób, i pokazują się figury na ulicach, w takich strojach, wziętych ze straszliwych wspomnień, owego ciężkiego 1812 roku, kiedy-to widziano wchodzących do Wilna grenadyerów francuzkich w ornacie, po wierzchu kozucha i płaszczu, i w żydowskich czapkach, zamiast kaloszy! Przechodzi pojęcie, co może wymyślić biedny Francuz, kiedy go mróz docisnie. Jednym słowem: zima jest tu nieprzyjemną, nad wszelki wyraz, porą roku, szczególnie dla biednych: źle odziani, źle karmieni, zamknięci w izbach, gdzie zimno, jak w lodowni... Serce się ścisza, myśląc, że tam wśród tej dokuczliwej zimy, są drobne dziatki, bez opału i chleba!

Mimo to wszystko, jak mogliście widzieć z dzienników politycznych, mieliśmy tu gorące rozprawy. Wybraliśmy nowiutką izbę deputowanych; nowego starego prezydenta, i nowe ministerium (szesnaste z rzędu od 1870 r.), coś jakby jedno ministerium rocznie! Obior, a raczej potwierdzenie, na drugie siedmioletnie p. Grévy'ego prezydentem Rzeczypospolitej, nie stało się z miłości, ale z potrzeby. Kraj mógł powiedzieć z Ciceronem: „non mea me voluntas sed meae vitae rationes“ — przywiodły do wybrania ciebie, panie Grévy.

Przypomniało mi to nasze elekcye z końca XVII wieku i z wieku XVIII. Wskutek zaścimienia umysłów nie szukano tego, kto miał najlepszą głowę, najsilniejsze ramię do ujęcia steru ojczywej nawy, ale brano takiego, który miał najlepsze serce do rozdawania urzędów i godności.

Jednym z symptomatów braku moralnej równowagi, w umysłach tutejszych, jest to nagłe zwiększenie się liczby wypadków zabójstwa i rozbojów, jakich jesteśmy świadkami w tej chwili. Zwracam szczególną waszą uwagę na ten zastraszający rzeczywistości symptomat. Jest on tak charakterystyczny, że nie mogę o nim przemilczeć, bo pominąłbym najważniejszą wskazówkę z charakterystyki naszego czasu.

Dzienniki i felietony przyniosły już wam niechybnie wiadomość, o zamordowaniu w pociągu kolei żelaznej prefekta departamentu de l'Eure, p. Barrème'a. Rozpowiadano o tem szeroko i wiele, i dotąd jeszcze dzienniki tutejsze nie przestały zajmować się tą tajemniczą zbrodnią.

Zwracam więc waszą uwagę na tę zarazę zabójczą, nie dlatego, że tu chodzi o taką osobistość jak jeden z wysokich urzędników rządowych, nie dlatego, że zbrodnia popełniona została z niesłychanym zuchwalstwem, nie dlatego, że powód jej dotąd jeszcze jest tajemnicą, nie dlatego, że złoczynca dotąd jeszcze nie został odkryty, — ale z te-

go powód, że morderstwo popełnione, jest to jeden więcej symptomat tej prawdziwej zarazy epidemii zabójstwa, która tu grasuje w tej chwili.

Na potwierdzenie tego, co mówię, dość będzie przytoczyć kilka liczb; pokażą one, jaki jest stan i przebieg we Francji tej choroby moralnej. Nie będę tu mówił, ma się rozumieć, tylko o zbrodniach popełnianych, wiadomych, zapisanych we wszystkich dziennikach, a spełnionych w przeciągu jednego tygodnia, od 11 do 16 Stycznia.

W Paryżu: zabójstwo pani Laplaige, żony wniarza przy ulicy Beaubourg, zabójstwo p. Barème w wagonie kolei żelaznej, zabójstwo Maryi Aguetan przy ulicy Caumartin, zamach na życie teściowej i żony przez niejakiego Bocqueteau, przy ulicy du Poteau. Na przedmieściu Clichy student, niejaki Arynthe, zadaje nożem dwie rany swej ciotce, poczem sam się zatrąwa kwasem siarczanym.

Na prowincyi: w Vitry sur Mont, niejaki François sierpem zabija wdowę Piedocq i jej córkę; w Horny znaleziono trupa zamordowanego Basset'a, rolnika; w Cusey, jakiś robotnik najemny zamordował siciarza, w Garnerans znaleziono wdowę Ferrand, zaduszoną w jej domu, w Beaune niejaki Lamothe, zastrzelony z fuzji, w Hawrze niejaki Laplint zadusił swoją kochankę; w Villeneuve niejaki Plasse, zalawszy wityrolem twarz strażnika więzienia, zadał mu kilka ran śmiertelnych nożem; w Saint-Valbert leśniczy Nardin, poraniony został ciężko, przez jakiegoś złoczyńcę; nakoniec w Parsac około Bordeaux, dwudziestoletni chłopiec Fournier żelazną sztabą zamordował własnego ojca!

W ciągu dni sześćdziesiąt morderstw i pięć zamachów na życie! — jest nad czem się zastanowić, pomyśleć. Ażebym wśród tego, co nazywamy, i co jest wistocie cywilizacją, zapanowało tak okropne umysłowe zбочenie, potrzeba szukać przyczyny, dalej i głębiej, niżli się to widzi z pozoru. Powolne i systematyczne rozprężenie wszelkich społecznych związków; podkopanie i ruina wszystkich podwalin, na których opierał się dotąd cała moralność społeczna; negacja istności duchowej; spory między Kościołem a państwem; fałszywy, ale całej Europie zresztą wspólny kierunek tak zwanego wychowania elementarnego, które pomija zupełnie stronę moralną człowieka; zły układ ekonomiczny społeczeństwa — wszystko to fatalnie prowadzi tych, których poziom umysłowy nie wzniósł się jeszcze do czystszych i jaśniejszych pojęć o tem, co złe, a co dobre, do pewnego zdziwienia, i do stanu smutnego upadku w którym wszystkie instynkta zwierzęce biorą górę i przewagę nad łagodnością umoralnionej natury ludzkiej. Patrząc pilnie, dostrzeżemy ślady tego moralnego grzybka zarazy, nietylko w życiu, w jego stosunkach i względach, ale w literaturze, we wszystkim prawie, co zależy od człowieka. Ze zniżającym się poziomem społecznościami zniża się poziom wszystkiego, za upadkiem sumień idzie tracenie wiary, odrzucenie ideału, — piękność staje się zbytkiem, a brzydota ozdoba.

Jak wielką jest prawdą to, co tu powiadam o tej zarazy moralnej i o jej skutkach, dowodzi ta okoliczność, że mając zdać sprawę z dramatycznych utworów, zajmujących w tej chwili pierwsze miejsce w tutejszych teatrach, znając dobrze wymaganie *Blusozu*, zmuszony jestem przemilczeć o takich sztukach, jak: „Georgette“, „W. Sardou'a, albo „Sapho“, p.p. Daudeta i Belot'a. Proszę mi wierzyć jednak, że nie robię tego wcale wskutek jakiejś śmiesznej pruderyi, albo wyrafinowanych zachcianek, ale poprostu dlatego, nie mogę moim czytelnikom opowiadać tego, co, wyjęte z ładnie wyzłoconych ram przedstawienia, pozbawione tego pokostu, którym tak zręcznie umieją tutejsi autorowie zlepić i pokrywać najsprośniejsze obrazy, wyda się im, jak mnie samemu, wstrętnem i obmierzłym. Nie dowodzi to — i aby ta jedna i druga sztuka, była bez wszelkiej zalety wykonania, wykończenia techniki. Przeciwnie, widać w nich pewną biegłość, której nie posiada pierwszy lepszy gryzmoła; ale w tem właśnie leży całe niebezpieczeństwo zaraźliwej choroby, że pisarze francuzcy dziś i od wieków, byli tymi arcybiegłymi zatrutowcami ludzkości,

umiejąc najokropniejszą zarazę upiększyć w tak przyjemny sposób, że najostrożniejszy z ludzi ulega jej bez wstrętu, bez podejrzenia.

Pomimo sumiennego ostrzeżenia, które daje, nie dziwiłbym się wcale, gdyby moi czytelnicy pomysłili w duchu: „Wolelibyśmy głupstwa i brudactwa p.p. Sardou'a i Daudet'a, niżli W. Pana zastrzeżenia i interesy moralności“ *Bene!* Nie traćmy nadziei, znajdują się ludzie śmielsi odemnie, którzy przeszedłszy już przez epokę „wyteżenia“ (Systemat inokulacji Pasteur'a) tak są zabezpieczeni przez zaszczepienie tej choroby, że się żadnej nie lękają zarazy, a więc w jej zaraźliwość nie wierzą. Ci więc przetłómaczą jedną i drugą sztukę, jeżeli nie zupełnie popolsku, to przynajmniej po *lodomeryjsku*, i czytelnicy moi zobaczą ją w teatrze i przekonają się: „że dyabeł nie taki straszny jak go malują“, i że ten pan kronikarz zbyt jest — *rigorosus*.

Lecz jeżeli malowanie takich obrazów, jak Sapho, albo Georgette, może się jeszcze wytłómaczyć w pewien sposób w komedji lub dramacie, jakże trudniej znaleźć na to obronę, kiedy widzimy te brudy z najobrzydliwszego śmietnika przeniesione na czyste i jasne pole poezyi! — tak, poezyi! Bo oto mam przed sobą, ostatnią książkę wydaną, niestety, z takim przepychem, jakiego się nie doczekał, ani Dante, ani Mickiewicz, przez Jana Richepin'a, pod tytułem: *Morze*. Arcykapłan nowożytnej poezyi we Francji, zostawiając całe kufry szpargałów, w których co było? Sam tego nie wiedział, nazwał to słusznie może *Oceanem*, zostawiając domysłności czytelnika, dodać właściwy dopełniący wyraz. Młody posługacz ze świątyni, naśladowując mistrza, zadowolił się skromniejszym tytułem *Morze*; jest to zasługa, bo mógł coś znaleźć brzydszego.

Tu się dopiero pokazuje, co-to może owa zaraza! P. Richepin jest rzeczywiście znakomitym talentem poetyckim w tem znaczeniu, jakie Francuzi przywiązują do tego wyrazu. Nieposzlakowana czystość formy i jej piękność, dzwięczne i doskonale skandowane wiersze, poprawne rymy słowem: wszystko, co ma blask i życie... Takimi zaletami obdarzony umysł, jakże zejść może do tego, aby wolno i bez przymusu tarzał się w cuchnącym rynsztoku i w nim czerpał swe natchnienie? Jak? oto bo jest dotknięty ręką tej zarazy.

Taki p. Richepin, Zola, Wast-Ricouard, Maizersy, Desprez i t. p., są to pisarze, których dzieła sprzedają się dziś najlepiej. Dlaczego? bo ich usposobienie, smak, dążności, styl i uczucia, odpowiadają najlepiej smakowi, dążnościom i uczuciom dzisiejszej publiczności francuzkiej. Nie ja to, cudzoziemiec, powiadam, ale to mówią i powtarzają sami Francuzi.

Jest na to nawet przyswojony tu wyraz z greckiego „Pornographie“, — pornografia, oto tryumf dzisiejszej literatury. Literatura tego rodzaju rozpięta się śmiało wszędzie, i wszędzie ma wejście, nie zdejmując czapki. Znajdziesz ją na pierwszym miejscu w dziennikach, które mają pretensją, że je czytają najwykwintniejsi światowcy, *arbitri elegantiorum* — w salonach i budoarach poważnej rodziny, w okładkach złotych lub różowych powieści modnej. Pisarze, których pióro z rozkoszą nurza się w kałuży, są dziś bogami nowego Olimpu, którego Apollo ma na głowie czapkę z trzema kondygnacyami, a Venus złotowłosa zapisana jest na rejestrach policji.

(Dokończenie nastąpi).

BIAŁA RÓŻA

CZEŚĆ II-ga

przez

Narcyżę Żmichowską.

(Dalszy ciąg).

— Urszulo, ja chcę teraz słyszeć.
— Augusto, ja nie chcę nigdy o tem mówić.

— Jesteś najnieznośniejszą pod słońcem dziewczką.

— A ty najkapryśniejszym zpod księżycy dziecięciem.

— I kiedyż w liście napiszesz? Czy doprawdy napiszesz?

— Napiszę. Guciu, — napiszę bajeczkę, obrazki powklejam i dam na gwiazdkę mojej rozpieszczonej jedynaczce. A teraz niech na tem poprzestanie, że kiedy mnie było lepiej na świecie, kiedy ja byłam szczęśliwsza, to przygarnęłam sercem smutniejszego od siebie; kiedy zaś jemu potem zaczęło być lepiej niż mnie, on odszedł sobie daleko...

— Ależ to była nieczemność z jego strony, Urszulko. Jakże ty mogłaś, znając go, czy nie znając, nieczemnika pokochać? Oh! wiem, wiem, że nie mamy prawa wyboru; lecz natomiast musi być pewne tożgatunkowości, a przynajmniej równoległości, prawo, na mocy którego róża kocha słowika lub motyla — jak śpiewają poeci, lecz biała lilia nigdy żaby nie kochała.

— Między nami mówiąc, Augusto, nie przyśięgłabym za lilią — ostateczne sprzeczności naszej czasy pociągają ku sobie — lecz my nawet nie byliśmy ostatecznymi sprzecznościami, ani ja lilią, ani on żabą; i owszem, z wielu względów można go do znakomitszych ludzi policzyc, — rzetelny jak książki kupieckie, rozumny jak biblioteka. Gdyby mu kto powiedział nie obwijając w bawełnę, „Kochałeś Urszulę, póki była bogatszą od ciebie, a przestałeś ją kochać, gdy sam od niej bogatszym być zacząłeś“ — wyobrażam sobie jakby się zdziwił i rozgniewał, a przecież choćby to się dało z pieniędzy na moralne powody przetłómaczyć, zawsze prawdy środkowej jądrem te szkaradne, poziomo brzmiące słowa zostaną. Lecz dajmy pokój mojej nudnej historii; zaczęłaś mi sama o sobie ciekawszą trochę rozpowiadać — proszę o dalszy ciąg i słucham uważnie.

— Wielką mam ochotę do przyszłego listu cię odesłać.

— Niesprawiedliwa, pensjonarska prawdziwie zemsta, moja Guciu! Za to, że mnie jest przykro o przebolewałych wypadkach wspominać, ty się chcesz pozbawić przyjemności mówienia o rzeczach, które cię bawią jeszcze.

— Jesteż to mała złośliwość, szanowna Urszulko?

— Nie jestem dość wielką panią, abym sobie małych złośliwości pozwałała, o dziecinną gadatliwość cię nie posądzam; lecz z własnego doświadczenia znam różne ludzkiego serca tajemnice i wiem, jak mu jest błogo czasem w dźwiękach słów żywych długo skrywane myśli usłyszeć; to jakgdyby piśmiennie zanotowaną melodią kompozytor przez czas długi fortepianu pozabawiony, twego Pleyela spotykając pod ręką, odegrał sobie nakoniec [tak]. Śmiało więc Guciu, wróćmy do fenomenalnej twojej wątpliwości i zastanówmy się nad tem, czy możesz kochać jednego chociaż z tych trzech wybranych, których wszystkich razem nie kochasz wcale według mego zdania.

— Czemuż mię oni więcej od innych zajmują?

— Mam nadzieję, że się ta osobliwość da łatwo bardzo wytłómaczyć — tylko mi powiedz pierwszej: kto jest ów dla mnie bardzo ciekawy idealny, a może tylko zidealizowany pan Wiktor — i kto ów niebezpieczny Seweryn? bo przeslicznego Morysia to już pewno znam oddawna.

— Właśnie, że nie znasz. Jakże ci się zdaje? kto jest przesliczny Morys?

— Wasz domownik przecie.

— Z jakim pogardliwym akcentem rzucasz to słowo „domownik!“ — Jużby też lepiej moja matka nawet nie wymówiła.

— Powiedz mi, jak mam nazwać młodego człowieka zdrowego na ciele i umyśle, który bez żadnego zatrudnienia rok po roku w domu bogatych opiekunów przesiaduje, szklanki wody przynosi i odnosi, na służących dzwoni, sprawunki balowe załatwia, daje się „kochanem dziedzictwem“ przezywać, je dobrze, śpi dobrze — i nigdy ani na wątrobę, ani na zgrzyotę sumienia nie zachoruje?

— Otóż miałam słusność, że nie znasz Mory-

sia; widzisz w nim tylko wychowawca na cudzym koscie żyjącego — lecz czem jest Morys rzeczywiście, to mnie pytaj, Urszulko.

— Jak najchętniej kiedy każesz, więc pytam: czem jest Morys rzeczywiście?

— Jest mało potrzebującym człowiekiem.

— Wyborna definicya próżniaka. Kto ma smaczny obiad, wytworne pomieszkanie, z ciekawego sukna fraki i tużurki, mnóstwo drobnych wygodek i cacek, obejdzie się bez reszty, obejdzie się bez własnej godności, bez szacunku bliźnich i bez chwały Pana Boga. Jeno mu ciągle na kominku ogień lub w salonie woskowe świece i kinikiety palić: toby się nawet bez gwiazd i słońca obszedł; bo próżniak jest „mało potrzebującym człowiekiem.“ Nie zapomnę tego szlachetnego omówienia.

— A ja ci nie zapomnę tej gorzkiej ironii. Fe! wstydź się, doctissima, takie pociski rzucać — i przeciw komu? Przeciw biednemu Morysiowi, który sam nigdy na nikogo kamieniem nie cisnął, który ma taką szczerą dla każdego życzliwość taką ustępną, wdzięczną, łatwo dobremu wierzącą, a na złe nie podejrzliwą naturę — i za cóż obelgi najdotkliwsze? Za to, że się z drugimi [tak] nie kręci, nie popycha, nie rozbija wielkimi kulakami o bardzo drobne rzeczy. Spójrzj dokoła, Urszulko, sumiennie rozsądź sprawy tych bezbożnych doczesności najemuików: czy jest o co mózóg w głowie sobie smażyć, a serce w piersiach wysuszać? Co do mnie, to ci się przyznam, że mi już zbrzydła owa prawdziwie mrówcza skrzętność otaczających mię ludzi. Jak wół i osioł jarzmo swoje wleką, żeby do najniżej ustawionego celu najbrudniejsze częstokroć ździebelko dowlekli. Jednemu kresem zabiegów kuropatwy z truflami na święto, a pieczona poledwica w inne dni tygodnia. Dla drugiego u szczytu mrowiska leży tytuł, który mu nawet nie da prawa łaski dla drobniejszych, a wsiąknie [tak] w siebie zdrowie, swobodę i wieczność może całą. Trzeci waruje niby wyżej do ideału posażnej żony. Temu karierą zrobienie majątku; tamtemu głównym obowiązkiem życia się zdaje pewne dobra do dóbr już posiadanych przykupić. A niczego bez trudu i hałasu otrzymać nie można. Dopieroż tedy poswarki, zawziętości, niepokoje — dalekie drogi, bezsennie spędzane nocy, ulewy żółci, przeziębienia, choroby! Oh! moja Urszulko, mów co chcesz sobie: stokroć większy mam szacunek dla jego na małej częsteczce poprzestającej beczynności, i stokroć piękniejszym mi się zdaje jego cichy egoizm, jego ograniczone, ludziom niezaczepne szczęście.

Man wants but little here below

Nor wants that little long.

(Człowiek mało na tym świecie potrzebuje, I tego mało nie potrzebuje na długo).

Jestem pewna, że Morys w tym dwuwierszu angielskiej ballady streściłby całą swoją filozofię, gdyby mu kiedy przyszło na myśl filozoficznie ze swego postępowania się tłumaczyć.

— Ależ, Guciu, chcesz koniecznie na jakiegos filozofa, bodaj czy nie na ascetę, pana Morysia wystrychnąć — a pan Morys dwudziestu czterech godzin nie obszedłby się bez hawańskiego cygara i schudłby niezawodnie po tygodniu naszej zwyczajnej ubogo szlacheckiej strawy. Jeśli mi powiesz, że na wygodnym zbytkowym życiu poprzestaje, że nie jest dumny, że się za czczą sławą urzędów, nauki, poezji, sztuk pięknych i tym podobnych szaleństw nie ubiega — ha, to ci natychmiast uwierzę; ale jeśli mi powiesz, że mało potrzebuje, to muszę śmiać się koniecznie.

— Jesteś niesprawiedliwą, moja droga; za stanów się tylko, czem mógł zostać młody człowiek z gwałtowniejszymi namiętnościami, z drażliwszą pychą i ruchliwszą próżnością w położeniu takiego Morysia, odbierającego prawdziwie pańskie wychowanie, noszącego trochę świetniejszego od swoich dobroczyńców nazwisko, a przy dojściu do pełnoletności obejmującego w posiadłość okrągłą sumę 50,000 zł. — Gdybyś pięć dziesiąt tysięcy młodzików zgromadziła, nie wiem czyby się między nimi dwóch takich znalazło, co w podobnych warunkach ster życia biorąc do rę-

ki, nie pokierowali nim na pełne morze hulanki i rozpusty, albo nienawiści, zazdrości, intrygi i występków. Tymczasem pytalny Morys niewinnym, serdecznym a wesołym jak ptaszek dzieckiem został tylko. Nikt mu w naszym domu nie dokucza: z kąd więc on, pełen ufności, domyśleć się mógłby nawet, że go nikt szczerze nie kocha? Z usposobieniem mojej matki jemu właśnie bardzo jest łatwo do równowagi się ułożyć: ani zbyt gorąca, ani zbyt zimna, to jest ani exaltacją ani zapomnieniem i nieuważą, przeciw formom światowym nie grzeszy. Od dzieciństwa przywykł też do nader kornego względem niej uszanowania, które, w nawiasie mówiąc, rodzona jej dzieci podziela. Nie czuje się przeto bynajmniej poniżonym zawisłością swojego z tej strony stosunku — mogłabym prawie powiedzieć, że i matka poswojemu przywiązała się do niego. Pleż razy słyszałam, jak wspominając o nim, mówiła ledwie że nie rozrzewnionym głosem: — „Ten Morys to taki łagodny, taki delikatny, jak gdyby go w domu nie było.“ — Owo: „jak gdyby go nie było“ może ci się dowcipną przymówką zdawać — ale nie. Urszulko, to jest najwyższy stopień pochwały w ustach mojej matki — już wierz mi, ja się znam na tem. Co zaś do mego brata, który tak często Morysia „kochanem dziedzictwem“ nazywa — prawda, że to czyni z pustoty, lecz ta pustota jest pamiętką jedynej, trochę tkliwej sceny w naszym rodzie. Kiedy mój ojciec przywiózł do nas siedmioletniego chłopczyne, ubranego w grubej żalobie, najpierw matce, a później Dyonizemu i mnie jako trzecie przybrane swoje dziecko przedstawiał dziś, jeszcze pamiętam, głos jego lekko drżał mówiąc te słowa: „Po walecznym żołnierzu, uczciwym człowieku i wiernym przyjacielu oto jest moje kochane dziedzictwo.“ Dyonizy sam jeszcze wtedy nie owiele od małego sierotki starszy, a niekoniecznie zwiastujący dzisiejszych salonów dowcipnisią, wziął ostatnie wyrazy za nazwisko przywiezionego kolegi i w godzinę potem wielkiego śmiechu narobił, dając znać, że „dziedzictwo nie chce pić ustawionej mu na moim stoliku herbaty.“ — Śmiech wywołał był, jak widać, najwyższym już dla mego brata tryumfem — choć go objaśniono o pomyłce, raz po raz swój komplement powtarzał, aż dopiero znudzona tem powtarzaniem matka pod groźną surowej kary wzbronila mu na czas jakiś używać tego przezwiska: później znów przy zdarzonej sposobności na wierzch ono wypłynęło i dotychczas zatonać nie może. Więcej ci nawet powiem: drugie się jeszcze znalazło, lecz to już Morysiowi tylko w kółku rodzinnym i tylko trochę zieszczotliwym akcentem się daje. Ponieważ ojciec nasz był przez jego ojca w testamencie wyznaczony opiekunem i ponieważ, sam umierając, także przez testament polecił naszej matce, aby zawsze nad losem wychowanka czuwała — ztąd też wychowanek bardzo często, ale, jak mówię, w dobrymieszczotliwym sposobie „testamenciekiem“ się zowie. Jest to pomysł Dyonizego — Dyonizy nie więcej sobie z Morysia, jak [tak] z wszystkich innych, jak ze mnie na przykład, żartuje. Morys nawzajem uważa jego żłośliwość za wrodzony jakiś nalóg; odetnie się czasem, rozdaśa kiedy, niekiedy, lecz nie ma na wet pojęcia, aby w tych żartach lekceważenie na wierzch wybijało, lub też, by on zabezpieczyć się przed niemi moralnie był obowiązany, dla tego jedynie, że kto zdaleka podobnych żarcików słucha, to je może lekceważeniem wytłumaczyć sobie. Oh! nie, to nie jest jednak przychlebny domownik, paszożyta, pieczeniarka charakter. Morys uszlachetnia swoje położenie prawdą szczerego przywiązania i dziecięcą w przywiązaniu drugich [tak] ufnością. W wielu okolicznościach prócz tego podziwiam jego rozsądek: nie a nie go nie korci, że Dyonizy ma swoje kabriolety i wierzchowce, że w karty grywa i śniadania znajomej młodzieży wyprawia; on się wcale do naśladownictwa zmuszonym nie widzi. Ma swoje zupełnie odrębne upodobania, które wielkich nakładów nie potrzebują i nie zawadzają nikomu: lubi polowanie, rybołówstwo, lżejsze warstwy literatury i pieska swojego. Na balach tańczy wesoło, lecz namiętnie za balami nie wzdycha. Najczęściej widzieć go można z dubeltówką lub

siecią na plecach, z rododendronem lub francuskim romansem w ręku. Trzeci rok już niby o dzierżawę się stara, lecz posądzam go, że to jest tylko zręcznie wynaleziona odpowiedź dla tych, którzy z niepotrzebną ciekawością o dal-sze na przyszłość zamiary go wypytują. Przyszłość Morysia w najodleglejszych granicach swoich sięga zaledwie od wiosny do lata, od jesieni do zimy, według tego, jak w której porze które kwiatki się rozwijają i który rodzaj myśliwstwa przypadł. Oranżerya nasza dostarcza mu głównego zajęcia, naszych błot cyranki i słomki głównych w życiu pociech. I cóż, Urszulko, czy zgadniesz: dlaczego ta miękka wata, co się nitką bawełny przedzie, ta woda strumienna beżmyślnie po swej pochyłości płynąca, ten Morys bez hartu i bez karyery, to wszystko takie słabe, takie wiotkie, — dlaczego to wszystko ma dla mnie tyle uroku?

(Dalszy ciąg nastąpi).

Korrespondencya zagraniczna.

Poznań 29 Stycznia 1886 r.

Nie wesoło się dla nas rok nowy zaczyna: zewsząd klęsk pełno lub złowrogich zapowiedzi. A jednak niepoprawną skłonnością naszej lekko-myślności, w tej najczarniejszej dobie, która dla nas świta, jakoby za dawnym hasłem, że *kiedy bieda to ho!* — Poznań hulał, szalał i skakał, wprawdzie tylko przez dni kilka, dość jednak, aby zasmucić i zawstydzić swoich brakiem godności i głębszego uznania, obcych zaś zgorzycić i zadziwić. Przyjazd Mierzwińskiego, który przez dni kilka wśród nas gościł i cudowną skalą głosu zachwycał, wywołał niebywały napływ z prowincyi do stolicy, dla usprawiedliwienia zaś tak mało będących na czasie zabaw nadano im przeważnie cechę dobroczynną, miłosierne stawiając sobie cele. Słusznie ktoś zauważył, iż niesienie ulgi nędzy zapomocą koutylnionych przyborów i dekoracyi, całkiem nowożytnym jest pomysłem. Niegdyś rękę pełną datków wyciągano ku żebrakom, dziś nogi zawezwano do pośredniej w tej mierze czynności. Cechą epoki — to jakaś mętna czułośćkowość, wzdrygająca się przed obrazem niedoli. Zniknęło dawne, hartowne miłosierdzie, które nie tylko jałmużną, ale osobistem poświęceniem, śpieszyło z ratunkiem pod strzechy ubóstwa. Dać jak najmniej z siebie, żadną się nie obarczyć ofiarą ni przykrością, nie zasmucać się widokiem nędzy, nie ze swego nie ustąpić: oto hasło dzisiejszej tańczącej filantropii. Dobroczynne nowoczesne zabawy stanowią rodzaj wygodnego kompromissu między egoizmem a sumieniem nieskameniałem jeszcze na niedostatek bratni. Wiadomo jednak, że podobne choreograficzne miłosierdzie niewiele ubóstwu rzetelnego przysparza plonu. Tyle odchodzi kosztów na urządzenie balów, teatrów i koncertów, tyle się przytem dodatkowego marnuje i rozechodzi grosza, iż ostatecznie zbyt szczupły rewanż pozostaje dla właściwego obiektu całego przedsięwzięcia. Gdyby zaś drogą składki podobny zakresłono sobie cel dobroczynny, to i ubodzy i datkujący lepiej-by stokroć na tem wyszli. Trzeba bowiem pamiętać, iż u nas przedewszystkiem nie dlatego się nie bawią, że naszej młodzieży zbywa na wesołym animuszu, ale raczej dlatego, iż nikt nie chce ani umie tanio się bawić. W tem właściwie szukać należy przyczyn zupełnego zastoju w naszym życiu towarzyskiem. Gdy zaś niema środków na dłuższe podobnego nastroju rozrywki, wszelkie zjawdy obywatelskie z konieczności muszą być krótkotrwałymi, niby ogień ze słomy, pochłaniający nader przelotnym płomieniem przywiezione ze wsi zasoby wesołości i pieniędzy.

Po gwarnej też trzydniówce, która się w ustalony nie rozwinęła karnawał, Poznań zamilkł ponownie i zamarł na resztę zimy; niema bowiem widoków, aby się miał jeszcze przed Popielcem ożywić i zbudzić, mimo złudnej swobody dni śpie-

wem Mierzwińskiego zaczarowanych. Powszechne panuje tu przygnębienie, tak materyalne jak i moralne, a odgłosy rozpraw sejmowych bolesnem z Berlina dochodzące nas echem, przygnębiająco działają na całe nasze społeczeństwo.

Wśród ustawicznych ciosów, które w nas gradem przeciwności uderzają, podziwiać przychodzi stałość przodowników naszych w dziedzinie pocziwej pracy. Prym zawsze wiedzie Towarzystwo Przyjaciół Nauk, które przed końcem ubiegłego roku ukonstytuowało swój zarząd licznymi straty przerzedzony. Konserwatorem i bibliotekarzem mianowano d-ra Erzepkę, młodego pracownika, znanego już z archeologicznych badań. W miejsce zaś zmarłego prezesa, s. p. Stanisława Kozmiana, wybór jednomyślny powołał — jak się można było spodziewać — Augusta hr. Cieszkowskiego. Nie pierwszy-to raz piastować mu ową godność przychodzi: jako jeden z założycieli Towarzystwa był on pierwszym jego prezesem. Dłuższy zagranicą pobyt zniewolił go przed laty do złożenia urzędu, dziś ponownie w jego ręce przez szacunek ziomków oddanego. Międzynarodowe znaczenie nazwiska znakomitego ekonomisty i filozofa serdeczna jego powaga wśród swoich, młody zapał przy doświadczeniu lat już sędziwych — wszystko to, razem wzięte, jak najpomyślniej wroży o trafności nowego wyboru, tembardziej, iż obok czcigodnego prezesa pozostał na dawnym stanowisku dotychczasowy sekretarz towarzystwa, Wawrzyniec hr. Benzelstjerna-Engeström, którego rzetelne zasługi wielokrotnie z okazji ostatniego walnego zebrania Przyjaciół Nauk przypomniano. Teraz dopiero znamienita nasza instytucja wychodzi, że tak powiemy, z okresu gospodarczego. Dotąd wypadało krzątać się przeważnie około przebudowań i wewnętrznych urządzeń: dziś swobodniej zająć się można powiększeniem zbiorów i naukowemi przedsięwzięciami, których wszelako i w minionych latach nie brakło. Sprawozdanie tegoroczne kilku danemi obecnym stan towarzystwa nam przedstawiło. Członków jest 312, oprócz tego 20 wieczystych, 38 honorowych, a zastęp „Przyjaciół Nauk“ coraz się zwiększa, przy ogólnem zainteresowaniu się społeczności, przynoszącą nam zaszczyt instytucją. Mnożą się też dary prywatne, których liczba w minionym roku dorosła tysiąca numerów. Odczyty powtarzają się często w łonie uczonego grona, wywołując nieraz nader ciekawe rozprawy. Hrabia August Cieszkowski mozolnie dokonane wypisy do historii stosunków Rzeczypospolitej z Republiką Wenecką, które znacznym kosztem sporządził kazał wedle odszukanych przez się w weneckim archiwum dokumentów, przedstawiał kilkakrotnie zgromadzonemu członkom towarzystwa, oceniam, jak należy, doniosłość historyczną owych aktów. P. Kazimierz Jarochowski zapoznał swych kolegów z treścią wielotomowego wydawnictwa korespondencji Fryderyka II, oile takowa się odnosi do stosunków Prus z Rzeczpospolitą. Widać ztąd jak zacięcie chytry stary Fritz sprzeciwił się *augmentacyi* wojsk polskich, o którą August III się starał za sprawą Czartoryskich i Stanisława Poniatowskiego, ojca królewskiego.

P. Kozłowski miał zajmujący odczyt o życiu i dziełach sławnego polskiego rytownika, Fryderyka Johna. Urodzony w Malborgu r. 1769, John zrazu poświęcił się interessom handlowym, ale gdy podczas pobytu w Londynie nagle doszła go wieść o upadku finansowym swego domu, jął się kształcić w rytownictwie, zaczem do Warszawy powrócił. Warszawa pod rządami Stanisława

Augusta była wówczas małemi dla sztuk pięknych Atenami. Ryciny Johna zwróciły wnet na siebie uwagę królewską. Ukoronowany mecenas często do siebie wzywał młodego rytownika, a zainteresowawszy się jego talentem, wysłał go dla dalszego wydoskonalenia się w obranym zawodzie do Wiednia. Niebawem utracił John opiekuna i hojnego dobroczyńcę, wraz z upadkiem tronu Stanisława Augusta, i więcej do Warszawy nie powrócił; atoli i w Wiedniu zjednał sobie sławę, a w osobie Cesarza Franciszka i ks. Lichtensteina znalazł nowych opiekunów. Jemu powierzono ilustracye do „Messyady“ Klopstocka, „Oberona“ Wieland'a i innych wydawnictw. Najcenniejszymi atoli są portrety Johna, rytowane z wielką delikatnością i dokładnością, a zalecające się pedobieństwem. Tych portretów naliczyć się można około stu, a spośród nich znawcy wyróżniają osobliwym uwielbieniem portrety ks. Józefa Poniatowskiego i księżny Litta d'Este. John pracował niezmordowanie we dnie i w nocy przez lat czterdzieści kilka, co nam tłómaczy nadzwyczajną ilość dzieł przez niego rytowanych. Umarł w Marburgu, gdzie ostatnie spędził lata życia swego, mając lat 73. Papiery oryginalne Fryderyka Johna złożył prelegent na własność Towarzystwa Przyjaciół Nauk.

Jeden z najczynniejszych członków Towarzystwa, p. Ignacy Zakrzewski, podjął się mozolnej pracy przejrzania wadliwego dotychczasowego wydawnictwa: *Lites ac res gestae inter Polonos cruciferorumque ordinem etc.*, a to dla biblioteki kórnickiej która nową edycją przyspasabia.

Nowy węzeł między Towarzystwem Przyjaciół Nauk a ogółem publiczności nawiązanym też został przez odezwę wzywającą mieszkańców wsi do zbierania nazw miejsc niezamieszkanich, jak to: łąk, moczarów, lasów, stawisk, odłogów, dla z bogacenia językoznawstwa pomnikami zachowanych tradycją nazw i wyrazów. Odezwa ta wywołała powszechne zainteresowanie się naszego obywatelstwa, zaczem obfitego można się w tej mierze spodziewać plonu.

Mimo nieprzyjaznych warunków i groźących prasie naszej przeciwności, mnóstwo nowych czasopism obok dawniejszych z dniem 1-go Stycznia powstało. Konieczność otworzenia sobie nowych źródeł dochodu, i u nas nowy popęd nadała zaniedbanemu dotychczas rybołówstwu, a rozpoczętemu w tym kierunku ruchowi przewodniczyć odtąd będzie *Gazeta rybacka*, wydawana przez p. Stabrowskiego. Już posiadamy specjalną gazetę pszczolniczą. Brakło nam dotąd ściśle ekonomicznego organu. Niedostatek ten obecnie postanowił wyrównać sekretarz Tow. Przyjaciół Nauk, dr. Łebski, stając na czele tygodnika zatytułowanego *Trud*, a poświęconego sprawom handlu i przemysłu. Nazwisko p. Łebskiego zarówno jak rozwinęty przez niego program, pozwala jak najlepiej rokować o przyszłości i pożytku założonego przez niego pisma. Z nowym rokiem w Berlinie również powstał polski dziennik, wywołany potrzebami trzydziestotysięcznej ludności polskiej osiadłej w stolicy Prus. Do licznego i zasłużonego szeregu ludowych pisemek przybyło od 1-go Stycznia kilka nowych, jako to: *Boga Rodzica*, *Róża duchowna*, *Zdrowaś Marya* i *Monstrancya złota*, a wprawdzie zdumiewającym jest faktem, że wszystkie wydawnictwa jakotako materyalnie się utrzymują, co świadczy o rozpowszechnieniu ich wśród chat i włości naszych, gdzie istotnie potrzeba czytania coraz się więcej rozwija i rośnie.

Moralnych też sił przybywa; cóż kiedy materyalne znikają, usuwając grunt z pod stóp naszych! A nie trzeba mniemać, aby tylko większa własność bała zagrożoną; i mniejsza na ustawi-

czne wystawiona jest szwanki, obliczono zaś świeżo, iż w ostatnich latach zniknęło w księztwie do 3,000 chłopskich gospodarstw, pochłoniętych przez wielkie majątki lub przez parcelacyą rozbitych. Stan rolniczy, mimo pozornej postępowości, jest tu oplakany. Rzuciliśmy się zbyt późno na spekulacye wyzyskane; już w Niemczech. Wzbożacona cukrowniami Saxonja od pół wieku blisko uprawiała buraki; my, w ostatnią bodaj godzinę upadającego powszechnie przemysłu, przyłożyliśmy do niego rękę i zatopiliśmy w nim procentujący się odpowiednio kapitał. Obliczenia całoroczne produkcyą rolniczą księztwa stawiają najniżej z całego niemieckiego państwa mimo stosunkowo lepszej u nas gleby. Polityczne warunki bytu oczywiście ciężą srodze i na materyalnym stanie prowincyi, a hurtowne wydalania najfatalniej oddziały na stan ekonomiczny okolic nagle pozbawionych robotnika. Mimo tak dotkliwego pozostawu, obywatelskie uczucia podyktowały naszej społeczności prawie jednomyślne oświadczenie się przeciw zamierzonemu monopolowi na okowitę, choć przez to spodziewać-by się należało podniesienia cen spirytusu, a zatem i dochodów licznych u nas właścicieli gorzelni. Atoli względy wyższego porządku zniewoliły naszych obywateli do poświęcenia osobistego interessu, co w obecnych trudnych do przebycia okolicznościach, zaiste, na wspomnienie zasługuje.

Z dniem 20 Stycznia ustały w księztwie łowy ożywiające jedynie ciche u nas wiejskie życie. Zwierzostan doszedł tutaj do tak świetnych rezultatów, iż naiwność pewnego czasopisma, nadmieniającego, iż zające stanowią dziś część poważną dochodów właścicieli ziemskich, niezupełnie na wysmianie zasługuje. I ryby i grzyby, i zwierzyzna i słonina, i len i konopie, dziś wyrównać muszą szczyby przez amerykańską konkurencyą w produkcyi zbożowej poczynione. Jaknajwięcej sprzedawać, jak najmniej kupować: oto hasło wydane przez poważniejsze u nas domy najpraktyczniejszą bodaj odpowiedzią na wasz kwestyonaryusz, który tu ogólne wzbudził zajęcie.

Bardzo śnieżna, choć niezbyt ostra, zima potęguje rosnącą zwłaszcza w miastach nędzę. Poznań pod tym względem bolesne przedstawia obrazy niedostatku. Coraz też nowe dzieła miłosierdzia z konieczności muszą wśród nas powstawać; do najpotrzebniejszych należy zakład opuszczonych chłopców, w skromnym dotąd istniejący zawiązku, który nam uprzytomnia cuda dokonywane we Włoszech przez słynnego apostoła młodzieży, Dom Bosco. Poprawa przyszłych pokoleń, osłonięcie ich przed jadem socyalizmu i społecznych przewrotów, tylko takimi środkami da się osiągnąć. Skromne początki tego przytułku osłania swą opieką znany z miłosiernej swej działalności ks. kanonik Maryański.

Do dzisiejszego numeru *Bluszcza* dołącza się arkusz 12-ty powieści pod tytułem: **Wydziedziczony**, przez Łukasza Malet'a, przekład z angielskiego.

TREŚĆ. Zaćmienie, z W. Hugo poezya, przez M. I. — Boży gniew, powieść, (dalszy ciąg), przez J. I. Kraszewskiego. — Notatki pedagogiczne Nowiny paryżkie. — Biała róża, (dalszy ciąg), przez Narcyzę Żmichowską. — Korespondencya zagraniczna, Poznań. — Dumka, na fortepian, ułożył Em. Kania.

Dodatek obejmuje: Arkusz 12-ty powieści pod tytułem: **Wydziedziczony**, przez Łukasza Malet'a. — Przegląd mód. — 27 wzorów ubiorów robót wraz z opisem. — **Sekreta gospodarskie.** — **Dyspozycyą stołu.**

Warszawa. — Druk S. Orgelbranda Synów, Krakowskie Przedmieście Nr 66.

Redaktor odpowiedzialny Michał Glücksberg.

Дозволено Цензурою.
Варшава, 29 Января 1886 года.

ZADUMKA

na fortepian

napisał Em. Kania.

Andantino

First system of musical notation. Treble and bass clefs. Key signature: one flat (B-flat). Time signature: 2/4. Dynamics: *p. semplice*. The melody is in the treble clef, and the accompaniment is in the bass clef.

Second system of musical notation. Treble and bass clefs. Key signature: one flat. Dynamics: *mf.*, *p.*, *crescendo.*. The melody continues in the treble clef, with a *crescendo* marking in the fifth measure.

Third system of musical notation. Treble and bass clefs. Key signature: one flat. Dynamics: *poco stretto*, *ritard.*, *I ma*, *II da*, *ritard.*, *sosten.*, *p.*, *ritard.*, *mf marc.*. The system includes two first endings marked *I ma* and *II da*, both with *ritard.* markings.

Fourth system of musical notation. Treble and bass clefs. Key signature: one flat. Dynamics: *intempo*, *mp.*, *Ped. f.*, *p.*. The system features a *Ped. f.* marking in the sixth measure.

Fifth system of musical notation. Treble and bass clefs. Key signature: one flat. Dynamics: *f.*, *ritard.*, *p.*, *lento*, *cresc.*, *à tempo*, *p.*, *p.p.p.*. The system includes a *lento* marking in the fifth measure and a *p.p.p.* marking in the eighth measure.

Sixth system of musical notation. Treble and bass clefs. Key signature: one flat. Dynamics: *Ped.*, *Ped.*, *Ped.*, *Ped.*, *Ped.*. The system consists of five measures, each with a *Ped.* marking, indicating a sustained pedal effect.